



tekst

**AGNIESZKA
NAPIÓRKOWSKA**

redaktor wydania

Kutno jest zagłębiem rzeźbiarzy, których prace znane są nie tylko w regionie, ale także w Polsce i różnych zakątkach świata. Jednym z nich jest Andrzej Wojtczak, który słynie z rzeźb sakralnych. O artyście, który obiecał, że nigdy nie wyrzeźbi diabła, na s. IV-V. Większość par zawierająca dziś sakramentalny związek małżeński nie ma pojęcia o tym, kim był swat. Dlatego trudno uwierzyć im w to, że dużo małżeństw, stając na ślubnym kobiercu wiele lat temu, prawie się nie znało. O udanej miłości za... 300 tys. zł piszemy na s. VI-VII.

krótko

Łuk się rozrasta

Łowicz. 22 lipca w sali konferencyjnej łowickiego ratusza odbyło się spotkanie związane z rozszerzeniem oferty Centralnego Łuku Turystycznego. W spotkaniu wzięli udział burmistrz Łęczycy Andrzej Olszewski, burmistrz Łowicza Krzysztof Jan Kaliński, a także wójtowie gmin: Piątek, Domaniewice, Kiernozia, Bielawy. Na następne spotkanie wszyscy zebrani mają przygotować szczegółowe propozycje atrakcji turystycznych na wytyczonych szlakach: sakralnym, patriotycznym i przyrodniczym.

Peregrynacja relikwii św. Teresy od Jezusa

Doktor z wizytą



ZDJEŃCJA AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA

W niedzielę po wieczornej Mszy św. wierni całowali relikwie

W parafii MBNP w Sochaczewie przebywała niezwykła osoba – św. Teresa od Jezusa, pierwsza kobieta – doktor Kościoła. Jej relikwie do parafii przynieśli członkowie Świeckiego Zakonu Karmelitów Bosych z Bednar.

Wzwiązku ze zbliżającą się 500. rocznicą urodzin św. Teresy od Jezusa w 13 wspólnotach świeckiego Karmelu prowincji warszawskiej trwa peregrynacja jej relikwii.

– Jako członkowie świeckiego zakonu otrzymaliśmy relikwie na kilka dni do prywatnej modlitwy – mówi Justyna Kornatko z Sochaczewia.

– Dzięki przychylności księdza proboszcza postanowiliśmy oddawać im cześć w kościele – wyjaśnia.

– Nikt chyba, kto ma takie skarby, nie chce przed nimi zamykać drzwi, dlatego wspólnie ustaliliśmy program peregrynacji, która trwała 24 i 25 lipca – mówi ks. Andrzej Gałaj, proboszcz.

Przez dwa dni wierni, poza modlitwą przed relikwiami św. Teresy, mieli także możliwość zapoznania się z jej życiorysem. – Byłem mile zaskoczony, widząc, jak wiele osób modli się przed relikwiami i jak dużym zainteresowaniem cieszyły się jej dzieła, które – jak wiadomo – nie należą do najłatwiejszych. To tylko dowodzi, że ludzie poszukują głębszej drogi doskonałości – tłumaczy ks. Gałaj.

Podczas peregrynacji 10 osób przyjęło także szkaplerz św., co wiąże się z przywilejami i obowiązkami takimi, jak naśladowanie i oddawanie czci Maryi, a także odmawianie modlitwy wyznaczonej przez kapłana.

– Szkaplerz mogą przyjąć wszyscy, którzy są świadomi i mają pragnienie noszenia go, a nie tylko członkowie Karmelu – wyjaśnia Mirosław Kornatko. – Bardzo cieszę się, że znalazły się osoby, które go przyjęły. Sam noszę go od roku – mówi Łukasz Przanowski. – Po jego nałożeniu doznałem pokoju i odczułem, że dużo łatwiej jest mi pokonywać trudności – dodaje.

Warto dodać, że członkowie świeckiego Karmelu są osobami, które – wzorując się na świętych zakonu – dążą do świętości, żyjąc według rad ewangelicznych zgodnie ze swoim stanem. Opiekę nad wszystkimi wspólnotami sprawują ojcowie karmelici bosci. Założycielami grupy w Bednarach, do której należą inicjatorzy peregrynacji w Sochaczewie, są Maria i Janusz Kuśmirkowie. Grupa bednarska liczy 9 osób, z czego 4 członków jest już po przyrzeczeniach wieczystych.

nap

Pierwsi w innowacjach



W kategorii najbardziej innowacyjny samorząd I miejsce zajęł Sochaczew

DANIEL WACHOWSKI

SOCHACZEW. Od 12 lat dziennik „Rzeczpospolita” organizuje ranking samorządów dbających o rozwój i poprawę jakości życia społeczeństwa. Wśród wyróżnionych, w kategorii na najbardziej innowacyjny samorząd, I miejsce zajęł Sochaczew. Pierwszą nagrodę burmistrzowi Bogumiłowi Czubackiemu wręczyli szef Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek oraz minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska. W rankingu zaś na najlepszy polski samorząd miasto zajęło 64. pozycję. Powód do dumy mają także Skierniewice, które w kategorii „najlepsze miasto na prawach powiatu” zajęły 26. lokatę pod względem pozyskiwania unijnych pieniędzy. **an**

Nagrodzeni za fotografię

ŁOWICZ. Dwie uczennice – Aleksandra Bończak z SP nr 1 w Łowiczu i Julia Pszkit z II LO w Łowiczu – znalazły się w gronie 16 laureatów finału tegorocznego Międzynarodowego Konkursu dla Dzieci i Młodzieży „Muzealne spotkania z fotografią”, organizowanego przez Muzeum w Koszalinie. Wzięło w nim udział 409 uczniów, którzy – zwiedzając dowolne muzeum – mieli za zadanie wykonanie fotografii przedstawiającej muzealne wystawy bądź budynek muzeum lub jego zaplecze. Zwycięzcy otrzymali akcesoria fotograficzne oraz zaproszenie do udziału w plenerze fotograficznym w Mielnie. **nap**

Święto noblisty

LIPCE REYMONTOWSKIE. 24 lipca już po raz 13. zorganizowano Dzień Reymonta. Impreza tradycyjnie rozpoczęła się w Łodzi, na ulicy Piotrkowskiej, gdzie stanął „Kufel Reymonta”. Po występach specjalnym pociągiem retro łodzianie przybyli do Lipiec Reymontowskich, gdzie odbyły się występy artystyczne i koncerty. Jak zwykle, do wspólnego śpiewu i zabawy zachęcał zebranych pomysłodawca Dnia Reymonta – Marcel

Szytenhelm. – Jestem tu po raz 13. i zawsze ubieram się w strój z epoki – mówi Barbara Przytuła z Łodzi. – W pierwszej edycji uczestniczyłam z zaskoczenia, ale tak mi się spodobało, że nie mogę sobie odmówić tej przyjemności. Ta impreza łączy Łódź z Lipcami i jest okazją do zawierania nowych znajomości, a także czasem dobrej zabawy. Gwiazdą tegorocznego Dnia Reymonta był Marcin Rozynek. **wb**

wb



Wielu uczestników Dnia Reymonta przybyło w strojach z epoki pisarza

AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA

O Chopinie i Konstancji



Podczas koncertu w kościele św. Jakuba ok. 350 osób wysłuchało pieśni Chopina w jazzowych aranżacjach

AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA

ŁÓDŹ-SKIERNIEWICE. XI Wędrowny Festiwal Filharmonii Łódzkiej po raz pierwszy 24 lipca zawitał do Skierniewic. W kościele św. Jakuba wystąpił Kondrat/Tubis Duo w składzie Joanna Kondrat – śpiew i Maciej Tubis – fortepian. W programie „Chopin. Powroty” znalazły się pieśni kompozytora w jazzowych aranżacjach, przeplatane jego listami. – Wybór miejsca nie jest przypadkowy – mówi Tomasz Bęben, dyrektor festiwalu. – Koncert jest związany z 180. rocznicą pierwszego zapisanego i potwierdzonego recitalu Konstancji Gładkowskiej, pierwszej muzyki Chopina, która ostatnie lata swego życia spędziła w Skierniewicach. Z tej okazji w Izbie Historii Skier-

niewic odbyła się także promocja książki „Konstancja Gładkowska – muza Chopina 1810–1889” autorstwa Janusza Galewicza, a także wystawa pamiątek po Konstancji, na którą przybyła praprawnuczka śpiewaczki Barbara Kaliszewska. Na ulicach miasta, w ramach akcji „Listy z Szopciem”, rozdawano kolejny list Chopina. **as**

GOŚĆ ŁOWICKI

łowicz@goscniedelny.pl

ADRES REDAKCJI: 99-400 Łowicz, ul. Seminarystyczna 6a
 REDAGUJĄ: Marcin Wójcik – dyrektor oddziału TEL. 666 026 771, Agnieszka Napiórkowska TEL. 666 830 799, ks. Wiesław Kacprzyk – asystent kościelny

Wypoczynek dla powodzian

Nic już nie jest takie samo

Przez dwa tygodnie 20-osobowa grupa młodzieży z gminy Słubice dotkniętej powodzią przebywała w Rawie Mazowieckiej. Podczas pobytu zastanawiano się nad tym, **czym jest jedność.**



DAMIAN GAŁA

W programie obozu były też wyjazdy

Od kilku lat Stowarzyszenie Przymierze Rodzin, prowadzące w Rawie Mazowieckiej Świetlicę im. bł. Edmunda Bojanowskiego, organizowało dla swoich podopiecznych letni wypoczynek. W tym roku zdecydowano, że kolonii dla „przymierzaków” nie będzie. Zamiast nich – przy pomocy mieszkańców i wsparciu sponsorów – zorganizowano obóz dla młodzieży pochodzącej z zalanych terenów diecezji łowickiej.

Kapitał dobroci

– Nie potrafiłam organizować wypoczynku dla naszych dzieci, wiedząc, że gdzieś jest młodzież bardziej potrzebująca – wyjaśnia Elżbieta Muszyńska, kierownik świetlicy w Rawie Maz. – Na początku planowaliśmy zaprosić do siebie dzieci, ale gdy się okazało, że one jadą już na zorganizowane kolonie, wyjazd zaproponowaliśmy młodzieży. Od początku spotykaliśmy się z ogromną otwartością wielu ludzi, którzy wyrażali chęć pomocy. Mając taki kapitał dobroci ludzkiej, szukaliśmy sposobów, by pomóc najbardziej poszkodowanym – mówi E. Muszyńska.

– Od początku byłem na tak – mówi Damian Gała, wychowawca. – Zanim młodzież przyjechała do nas, najpierw my pojechalismy do nich. Patrząc na skutki powodzi, zdałem sobie sprawę, że kto

tego nie zobaczy, nie wie nic o powodzi. Telewizja tego nie pokazuje. Ważny jest kontakt osobisty.

Podobnego zdania jest Kasia Sowik. – Nie ukrywam, że na początku miałam pewne obawy, ale młodzież jest bardzo kontaktowa i szybko się udało znaleźć wspólny język – zaznacza.

Komitety po obu stronach

Przed przyjazdem powodzian w rawskich kościołach odczytany został otwarty list z prośbą o wsparcie finansowe. Za zebrane pieniądze kupiono środki czystości, ziemniaki i inne warzywa, które już trafiły do poszkodowanych. Podczas zaś pobytu, poza atrakcyjnym programem, w którym znalazły się trzy wycieczki, wyjścia nad zalew i wspólne warsztaty, każdy z uczestników dostał kieszonkowe, a także mógł za 300 zł kupić dla siebie ubrania. Na tym jednak nie koniec.

– Widząc ogromniszczeń, myślimy o zawiazaniu w Rawie społecznego komitetu, który zajęłby się zbieraniem, organizowaniem i przekazywaniem darów osobom potrzebującym. Chcielibyśmy, by po drugiej stronie też był podobny komitet. Wówczas łatwiej byłoby rozpoznawać potrzeby i do-

cierać do wszystkich – tłumaczy Elżbieta Muszyńska.

Chwila wytchnienia

– Na początku, słysząc o obozie, byłam niezdecydowana. Namówiły mnie koleżanki i teraz bardzo się cieszę, że tu jestem. Zwiedzając Kraków, Wieliczkę, Oświęcim czy Warszawę, na chwilę oderwałam się od domu, sprzątaniam i ciągłego mówienia o powodzi – wyznaje Małgorzata Milczarska.

– O tym, co się stało, nie jesteśmy w stanie zapomnieć. Każdego dnia zastanawiamy się, co dzieje się w domu i czy tam nie byłibyśmy bardziej potrzebni – dodaje Magda Wolińska. – Przed przyjazdem zaangażowaliśmy się w sprzątaniam i pomoc przy wydawaniu darów. Dobrze, że mieliśmy szansę chwilę odpocząć przed kolejnymi pracami i powrotem do szkoły – mówi.

– Przed powodzią nigdy nie myślałam, że znajdę się w sytuacji, w której nie będę miała dachu nad głową. Po takim doświadczeniu nic nie jest już takie samo. Dobrze, że są tu wychowawcy, z którymi bez dystansu możemy porozmawiać – podkreśla Małgosia.

– To prawda, kadra jest super, do każdego z nas podchodzą z życ-

liwością i liczą się z naszym zdaniem. Pewnie dlatego tak szybko udało się nam zgrać – mówi Ewelina Róg.

Zadowolenia z odpoczynku w Rawie nie kryją też Dominika Kwiatkowska, Eliza Róg i Karolina Jasińska. Obóz – podobnie, jak wszystkie organizowane przez Przymierze Rodzin wakacje – to nie tylko odpoczynek, ale także budowanie więzi, poznanie siebie i pogłębianie relacji z Bogiem. Tematem przewodnim była jedność, o której wiele rozmawiano nie tylko w kontekście powodzi, ale także katastrofy smoleńskiej i innych wydarzeń.

– Bardzo nam zależało, aby rozważania nie były tylko teoretyczne, ale aby stały się udziałem wszystkich – mówi Elżbieta Muszyńska. Patrząc na młodzież, która intensywnie przygotowywała się do spotkania z dziećmi z Rawy, wydaje się, że cel został osiągnięty. – Na zakończenie obozu organizujemy imprezę dla miejscowych dzieci. Przygotowujemy zabawy, konkursy, zajęcia sportowe. Chcemy w ten sposób dać coś z siebie i podziękować za otwartość i pomoc, jakiej sami doświadczyliśmy – tłumaczy Eliza Róg.

Nigdy nie wyrzeź

CUDA Z DREWNA.

Mieszkańcy pewnej wsi w powiecie radomszczańskim mówią, że to kapliczka Jana Nepomucena, zrobiona przez kutnowskiego rzeźbiarza, **uchroniła ich przed powodzią.**

tekst i zdjęcia

MARCIN WÓJCIK

mwojczik@goscniedelny.pl

Ktoś taki jak Andrzej Wojtczak musi mieć bazę, to jest garaż, stary kurnik, przyczepę campingową, domek działkowy... Cokolwiek, byleby móc tworzyć. Andrzej miał garaż, ale kazali mu go oddać, więc za fiata 126p kupił na uboczu miasta ziemię z domkiem. W Kutnie takich jak Andrzej jest wielu.

Karmnik św. Franciszka

Lipa to drzewo długowieczne i miododajne. Z jej kwiatów można zaparzyć uspokajającą herbatę. Andrzej, trzymając kawałek lipy w rękę, też czuje się spokojnie. Oczyma wyobraźni widzi anioła ze złotymi skrzydłami albo św. Franciszka z rozłożonymi rękami, na których przycupnęły dwa wróble. Inspiracji do rzeźbienia szuka w książkach (głównie w żywotach świętych), a także w kulturze ludowej. Czasami ktoś go sam zainspiruje, zwłaszcza wtedy, gdy tworzy na zlecenie, tak jak karmnik dla ptaków, który zamówiła klientka z Warszawy. Zgodnie



Andrzej Wojtczak zaczął rzeźbić w latach 70. Dziś jego prace można spotkać nawet w USA

z wytycznymi zamawiającej, czołowym elementem karmnika ma być św. Franciszek stojący pod niewielkim daszkiem. Tuż obok stóp świętego na skrzydlatych braci będzie czekać pszenica.

Jak powstaje rzeźba? Na nic wszelkie wytyczne, jeśli artysta najpierw nie poczuje rzeźby w sercu. Później dąży do ideału formy, którą obmyśli w głowie. Następnie

głowa daje wskazówki ręce, a ręka wprawia w ruch dłuto. Są postacie i rzeczy, które rzeźbi się tygodniami, ale są i takie, które powstają w ciągu kilku dni. Wojtczak z zasady nie rzeźbi w soboty i niedziele. Pierwszy dzień weekendu rezerwuje na malowanie wyrzeźbionych figur, w drugim maluje obrazy na płótnie i desce. To jego kolejna pasja.

Więzienne postanowienie

Twórczość Andrzeja Wojtczaka nawiązuje do tematów religijnych. Tworzy wielopostaciowe płaskorzeźby, a także pojedyncze figury. Jego obrazy również przedstawiają sceny biblijne i podążają za wydarzeniami z życia Kościoła, tak jak w przypadku obrazów namalowanych tuż po śmierci Jana Pawła II.

bię diabła

Wojtczak po raz pierwszy wyrzeźbił maski – płaskie twarze. Był to rok 1974. W tym też czasie poznał swoją przyszłą żonę Małgorzatę. Nie traktował rzeźbiarstwa jako sposobu na życie. Poszedł do pracy, bo trzeba było zarabiać pieniądze, miał już rodzinę.



Anielski zespół, wyrzeźbiony z jednej deski

PONIŻEJ: Wiele rzeźb A. Wojtczaka to postacie świętych

W latach 80. ub. wieku w Kutnowskich Zakładach Metalurgicznych rozprowadzał ulotki solidarnościowe i między innymi przez nie trafił w 1984 r. do więzienia jako wróg władzy ludowej. Przesiedział w Płocku i Warszawie 3 miesiące i zostały tam pewnie dłużej, gdyby nie amnestia.

– Po wyjściu z więzienia postanowiłem, że już nigdy nie wyrzeźbię diabła – wyznaje. – Tyle rogatych dusz w więzieniu widziałem, że nie chciałem mieć z nim więcej do czynienia. Chyba tylko raz wyrzeźbiłem diabła dla kolekcjonera z Warszawy. Miał w piwnicy istne piekło – śmieje się.

Uchronił wieś przed powodzią?

Wojtczak otrzymał medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Sprzedaje swoje prace głównie w galeriach, między innymi w Warszawie na Starym Rynku. Niedawno Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zamówiło u niego kapliczkę św. Jana Nepomucena. To już kolejna kapliczka z tym samym świętym. Wyrzeźbił podobną dla jednej ze wsi w powiecie radomszczańskim. Stała nad rzeką, w miejscu, gdzie często dochodziło do utonięć. Święty jest patronem między innymi tonących, powodzi i mostów. Mieszkańcy wioski twierdzą, że to św. Nepomucen uchronił ich przed tegoroczną powodzią, bo woda zatrzymała się tuż przy kapliczce.

Prace Wojtczaka można spotkać nie tylko w Polsce. Zamówienia przychodzą z Niemiec i Francji, współpracuje z galerią w Stanach Zjednoczonych. Parę lat temu przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego znalazła go pewna Francuzka mieszkająca w Nicei. Zafundowała Wojtczakowi miesięczny pobyt we Francji, gdzie mógł zabrać dzieci, żonę, no i dłuta.



Niemal każdą niedzielę Wojtczak poświęca na malowanie. To jego druga pasja

PONIŻEJ: Ostatnia wieczerza dłuta A. Wojtczaka



Rzeźbił tam dla merostwa św. Elżbietę i anioła, były to ponaddwumetrowe postacie. Żałował tylko jednego – że nie zabrał z Polski drewna lipowego, bo w całej Francji nie było lepszego.

Czy dzisiaj da się wyżyć z rzeźbiarstwa? Według Wojtczaka, to trudne. – Gdyby nie dochody żony, byłoby nam ciężko związać koniec z końcem – mówi. – Problemem jest to, że galerie biorą rzeźby i płacą dopiero po sprzedaży. To czasami trwa kilka lat i można zapomnieć, która galeria wzięła prace i ile ich wzięła – podkreśla Wojtczak.

Kutnowskie dłuta

Śmiało można powiedzieć, że Kutno to zagłębie rzeźbiarzy. Wśród nich są: Andrzej Cichoń, Tadeusz Kacalak, Andrzej Wojtczak, Antoni Kamiński. Ten ostatni jest dla młodych rzeźbiarzy nauczycielem. Wszyscy nawiązują do tematyki sakralnej i ludowej. Mówi się już o „kutnowskiej rzeźbie ludowej”, której początki datowane są na lata 60. ubiegłego wieku. Godna podziwu jest obecność rzeźby z Kutna na wystawach w różnych częściach Europy i świata, jak choćby w Santa Fe w USA.



Krystyna Kasierska od lat krząta się po domu i podwórku



Pana Edwarda często można spotkać przy pracy w oborze

Udana miłość za... 300 tysięcy

MAŁŻEŃSTWO Z DŁUGIM STAŻEM.

W momencie wypowiedzania przysięgi małżeńskiej prawie się nie znali. Czy pobierali się z miłości? Zgodnie twierdzą, że nikt ich o zdanie nie pytał. **Miłość do ich domu zawitała lekko spóźniona**, ale za to nigdy się z niego nie wyprowadziła.

tekst i zdjęcia

AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA

anapiorkowska@goscniedzielny.pl

Krystyna i Edward Kasierscy z Leszczy 15 stycznia obchodzili 60. rocznicę ślubu. Z tej okazji specjalne błogosławieństwo przekazał im Ojciec Święty Benedykt XVI. W ciągu 60 lat wspólnego życia wychowali troje dzieci i doczekali się piątki wnucząt. Małżeńskie życie spędzili we wsi Leszcze, położonej niedaleko Łęczycy. Plac, na którym znajduje się ich dom, od 100 lat należał do rodziny. Kiedyś był tu folwark,

potem parcela, którą kupił dziadek pana Edwarda. Obecnie przy murowanym domu stoi ławeczka, a nieopodal stolik z parasolem. Dziś państwo Kasierscy nigdzie się już nie spieszą, za to chętnie przysiadają raz w cieniu, raz w słońcu, by wspólnie napić się kawy, odpocząć, czy po prostu nacieszyć się świeżym powietrzem.

Dwukrotne mówiny

Pytani o receptę na udane życie, mówią, że nauczyli się wzajemnie o sobie troszczyć, pomagać sobie i bardziej szukać tego, co dobre niż złe. Reszta jest łaską Pana Boga i... skutecznością swata.



15 stycznia 1950 r.
Krystyna i Edward Kasierscy
wzięli ślub

– Cała ta nasza znajomość dziwnie się zaczęła – mówi Krystyna Kasierska. – Szwagier mojego ojca Władysław Nawrotek poszedł do Kasierskich z pytaniem, czy nie ożeniliby ze mną syna. Doszło do spotkania, które – choć trwało do 3.00 rano – zakończyło się fiaskiem. Teściowa z bratem chcieli 300 tys. zł, a moi rodzice uważali, że to za dużo. Cały problem raczej nie leżał tylko w pieniądzech. Młody nie postawił wódki, teściowa nie dała zakąski i tyle. A jak wiadomo, na sucho trudno się

w takich sprawach dogadać – opowiada z uśmiechem pani Krystyna.

Drugie spotkanie było już owocne, pomimo że kwota nie została zmniejszona. Wesele na 150 osób zorganizowano w ciągu kilku tygodni. Poza rodziną bawili się na nim także sąsiedzi niemal z całej wioski.

Życie na piaskach

Krystyna Kasierska z domu Kamińska z rodzinnego domu wyprowadziła się dopiero w kwietniu, gdy rodzice męża wykończyli dom. – Do dziś pamiętam, jak jedna z moich ciotek powiedziała do mojej mamy: „Co ty robisz? Dajesz córkę na takie piaski!”, ale cóż było robić. Poszłam. Zgrzeszyłabym, gdybym powiedziała, że mąż mi się nie podobał. Był przystojnym, zrównoważonym i dobrym człowiekiem – opowiada pani Krystyna.

– Ja tam wiem, czy ja byłam taki dobry? Bić nie biłem, od roboty się nie wymigiwałem, tak że chleba nam nie brakowało i tyle – mówi pan Edward.

– Jeszcze by tego brakowało, żebyś bił! – śmieje się, grożąc palcem, żona. – Nasze życie nie było sielanką. Przechodziliśmy trudne

chwile, ale nigdy nie przyszło nam do głowy, by się rozstać. Przez 7 lat nie mieliśmy dzieci. Na szczęście moja siostra, która pracowała w prezydium, dała mi kontakt do dobrego lekarza, który poznał się, co mi jest. Jeżdżąc do niego do Warszawy, musiałam tam być wcześniej rano, żeby się zapisać. Najczęściej wizytę miałam dopiero koło godz. 17. Cały ten czas spędzałam na modlitwie w różnych kościołach. Cierpiałam, widząc kobiety w ciąży. Na szczęście Bóg mnie wysłuchał. Przez całe 7 lat Edek nigdy nie powiedział mi nic przykrego, choć – podobnie jak ja – bardzo chciał mieć dzieci – opowiada pani Krystyna, ocierając łzy. – Proszę mi wybaczyć wzruszenie, ale ja mam oczy osadzone na podmołym gruncie – tłumaczy.

Już jako młodzi ludzie Krystyna i Edward nie byli rozpieszczani

przez los. Ona razem z rodziną podczas wojny została wysiedlona do Strzebieszewa. Również rodzina Kasierskich nie mogła pozostać na swoim placu. Gdy Niemcy przyszli ich wywozić, Edward ukrył się w polu. Potem, przez okres wojny, pracował u... Niemca. W kwietniu 1945 r. dostał wezwanie do wojska.

Gołe niebo i wszy

– Wytrzymałem tylko niecałe 4 miesiące i uciekłem do domu. Nie mogłem znieść spania pod gołym niebem, ogromnej wszawicy i jedzenia w postaci mamaługi. W domu pobylem 2 tygodnie, po czym wróciłem z wałówką do wojska. Za ucieczkę dostałem 5 dni aresztu, po którym odsłużyłem 27 miesięcy – wspomina Edward Kasierski.

Po ślubie też nie było sielanki, ale – jak mówią Kasierscy – wszystkiego powoli się dorabiali. – Wtedy, mając gospodarstwo, na głód nie można było narzekać. Do dziś pamiętamy zapach chleba i smak czarnej kawy zbożowej, którą zabieraliśmy, idąc w pole. Nie mówię, że nie zdarzało się, że czegoś brakowało. W czasie stanu wojennego mieliśmy mięso i mleko, ale – tak jak wszyscy – musieliśmy wiele rzeczy kupować na kartki.

Mąż bardzo lubił pojeść chleba z cukrem. Złościł się, gdy

mówił, że cukru nie ma – wspomina pani Krystyna.

Dumą Kasierskich zawsze były i są ich córki. – Szkoda tylko, że najstarszej życie się nie ułożyło. I z tym trzeba było się pogodzić – mówi pani Krystyna.

Polski Boryna

W Leszczach razem z rodzicami mieszka najmłodsza córka Agata Fornalczyk z rodziną. To jej Kasierscy zapisali gospodarstwo. – Razem gospodarujemy, mamy wspólną kuchnię i – jak do tej pory – nie przypominam sobie, byśmy nie mogli się zgodzić – mówi Agata Fornalczyk. Teraz, gdy rodzice mają już swoje lata, businesswoman na 12 hektarach jestem ja – mówi z uśmiechem pani Agata. – Z tego, co wiem, podobno miałam być chłopakiem. Może dlatego nie boję się ciężkiej pracy, jeżdżę na traktorze, zajmuję się gospodarstwem i prowadzeniem domu – dodaje.

– Trzeba przyznać, że Agata jest wyjątkową kobietą. Gdy była w ciąży z pierwszą córką, zaraziła się różyczką. Lekarz dał jej skierowanie na aborcję, mówiąc, że dziecko będzie niewidome. Nie posłuchała go i skierowanie podarła, mówiąc, że będzie jak Bóg da. Wnuczka urodziła się niesłysząca. Teraz w sierpniu wychodzi za mąż. Jest dobrą i zaradną dziewczyną, która obecnie ma staż w policji – opowiada K. Kasierska.

Przez wiele lat pani Krystyna na zmianę z córką każdego dnia jeździła z wnuczką Martą do Łodzi. – Czas, gdy Marta była w szkole, ja spędzałam w kościele, Agata zaś razem z inną matką prowadziła sklepik szkolny. Ludzie się nam dziwili, skąd mamy na to wszystko siłę. My nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że była to łaska, którą sobie wymodliliśmy. Dziś już tak ciężko nie pracujemy, ja czasem coś pomogę w kuchni, mąż pójdzie do zwierząt. Ot, i cała nasza praca – wyjaśnia Krystyna Kasierska.

– Proszę w to nie wierzyć. Mama ciągle rwie się do pomocy, a ojciec jest typem polskiego Boryny, który zawsze musi wcześniej wstać i pójść do krów albo na pole – chwali rodziców A. Fornalczyk.

Rozmawiając z Krystyną i Edwardem Kasierskimi, trudno się pozbyć wrażenia, że udane życie małżeńsko-rodzinne jest tak zwykłe jak powszedni chleb, a jego smak zależy od tego, z czym go jemy. Państwo Kasierscy bez wątplenia okraszali go miłością do siebie, ludzi i Pana Boga. ■

Z okazji 60. rocznicy ślubu Kasierscy otrzymali błogosławieństwo od Ojca Świętego Benedykta XVI



■ R E K L A M A ■

103,5 FM
Łowicz/Sochaczew

93,8 FM
Kutno

94,7 FM
Rawa Maz.

96,7 FM
Skierniewice

98,1 FM
Maszczoneń/Zyrardów

agencja reklamowa

radio
Victoria

www.radiovictoria.pl





W klasztorze przeżyła srebrny i złoty jubileusz (na zdjęciu pierwsza z lewej)



Siostra Gabriela spędziła w zakonie bernardynek w łowiczu 65 lat (na zdjęciu z s. Hiacyntą)

Nasi wielcy

Orły Bożej hafciarki

Niemal **całe swoje życie spędziła w celi**. W jednej zamknęli ją Niemcy. O drugą poprosiła sama, zgłaszając się do zakonu kontemplacyjnego sióstr bernardynek w Łowiczu.

Niektóre życiorysy aż kipią od wydarzeń, wojaży, zaszczytów i osiągnięć. Inne są wielką tajemnicą, którą trudno opisać i uchwycić w prostych słowach, bo choć trwały wiele lat, dokonywały się w milczeniu. Tak było w przypadku s. Gabrieli Natalii Zembrzyckiej, bernardynki. Ukryta przed światem, przez 65 lat wpatrywała się w Oblicze Najwyższego, powierzając mu siebie, bliźnich i cały świat. W klasztorze zajmowała się haftem. Lubiła śpiew, przyrodę i pracę. Dzięki poczuciu humoru sprawiała, że każda rekreacja była czasem okraszonym salwami śmiechu. Gdy zasnęła w Panu, nikt nie miał wątpliwości, że poszła po wieczną nagrodę.

Suchy chlebek w kieszonce

Siostra Natalia urodziła się w 1912 r. w Warszawie w wie-

lodzietnej rodzinie. Wcześniej osierocona, wychowywana była przez Siostry Miłosierdzia w Domu Dziecka. Zakonnice zadbały o jej wykształcenie. Przez kilka lat pracowała w domu zakonnym. W czasie II wojny światowej została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Cudownie ocalona, z wdzięczności za uratowane życie 7 października 1945 r. wstąpiła do klasztoru sióstr bernardynek w Łowiczu. Rok później otrzymała habit i imię zakonne Gabriela.

– Do czasu spędzonego w obozie s. Gabrysia nie chciała wracać. Czasem, gdy bardzo ją podpytywałam, powiedziała jakieś jedno-dwa słowa i zmieniała temat – opowiada s. Łucja. – Trudno było z tych pojedynczych słów wyobrazić sobie, co tam przeszła. Wspominała jedynie stanie boso na mrozie, głód i powrót do Warszawy z grupą 12 osób. Przez całe życie, gdy przechodziła obok koszyeczka z chlebem, kromkę wkładała do kieszonki. Gdy była już starsza, musiałyśmy jej ten chlebek podmieniać, bo suchego nie mogła pogryźć. Zawsze nas to wzruszało, bo wiedziałyśmy, że to pozostałość po obozie – tłumaczy s. Łucja. W klasztorze w Łowiczu s. Gabriela przebywała 65 lat. Przez większość zakonnego życia haftowała szaty liturgiczne, baldachymy i chorągwie. – Ta-

kich orłów, jak ona robiła, nikt nie potrafił. Proszę zobaczyć, jak jest to misternie zrobione – chwali s. Karolina. – Tego orła dostałam od s. Gabrysia na imieniny. Wiedziała, że moi rodzice byli w AK, dlatego go dla mnie zrobiła. Teraz służy siostrą jako wzór. Patrząc na jej prace, widać, że ona piękno swojej duszy wyrażała haftem – dopowiada s. Łucja.

Jakie wy jesteście dobre!

Przez ostatnie trzy miesiące życia przy s. Gabrieli nieustannie czuwała s. Monika. – W swojej chorobie s. Garbysia zawsze była radosna, pogodna, nigdy uciążliwa. Jak ją prowadziłam, często sobie podśpiewywała – wspomina s. Monika. – Wiele razy prosiłam, by mi coś opowiedziała. Potrafiła z pamięci mówić bardzo długie wiersze. „Pana Tadeusza” znała niemal całego. Sama też pisała poezję. Niestety, wszystką spaliła. Do końca życia wiele rzeczy ją interesowało. Kiedy chciałam ją na chwilę zostawić, dawałam jej książkę lub gazetę i byłam spokojna, bo wiedziałam, że się od nich nie oderwie. Każdej nocy około 2 wstawała, a ja razem z nią. Za każdą pomoc, opiekę zawsze chwaliła: „Jakie wy jesteście, siostry, dobre! Dziękuję wam” – opowiada s. Monika.

Po śmierci s. Gabrieli wszystkim siostrą najbardziej brakuje



Jak mało kto potrafiła haftować orły

jej prostoty i poczucia humoru. – Wchodząc na chór, siostra wszystkie nas liczyła. Przed rozpoczęciem modlitwy często mawiała: „Ooo, nie ma matki i nie ma komu zacząć”. Gdy zdarzyło się, że się spóźniła na Różaniec, zawsze pytała: „Daleko jesteście?”. Odliczała paciorki i już była z nami. W ostatnich latach miała pewne kłopoty z pamięcią. Gdy prosiłam ją, by coś zrobiła, mówiła: „Jak matka każe, to zrobię”. Tłumaczyłam, że jestem matką i proszę. Wtedy czasem dziwiła się, mówiąc: „Ty jesteś matką? Ja cię nie wybierałam”. – Wtedy trudno było powstrzymać się od śmiechu – wspomina s. Karolina.

Siostra Gabriela Natalia Zembrzycka zmarła 1 lipca 2010 r. w wieku 98 lat. – Zanim umarła, przewróciła krzeselko, by dać mi znać, że źle się czuje. Pobiegłam po matkę. Gdy wszystkie zaczęłyśmy się za nią modlić, spokojnie zasnęła w Panu – mówi wzruszona s. Monika. Do domu Ojca odeszła tak jak żyła – cicho, otoczona modlitwą.

nap